

Rozbrajanie populistycznej miny

3 czerwca 2014

Triumfalny pochód populistów spowodował polityczne trzęsienie ziemi w Europie. Głosy z Wielkiej Brytanii i z Francji stanowią dla partii głównego nurtu bezprecedensowe wyzwanie.

Kiedy gorączka niedzielnej, wyborczej nocy nieco opadła, można było usłyszeć oddech ulgi. Niezbyt głośny, ale jednak. Europejskie elity obudziły się w poniedziałkowy poranek w znacznie lepszych nastrojach. Z pozoru bowiem w tych wyborach nic się takiego nie stało. W unijnych instytucjach, tak jak wcześniej, będą dominować chadecy i to z ich szeregów wyłoni się szef Komisji Europejskiej, czyli nieformalny lider Europy. Będzie nim Jean Claude Juncker, bo w tegorocznych wyborach europejskich zasiadające w PE ugrupowania po raz pierwszy wskazały kandydatów na szefów Komisji Europejskiej, co miało „upolitycznić” kampanię i ułatwić prezentację wyrazistych, różniących się wizji przyszłości Unii. Idea słuszną, ale z praktyką już gorzej. System wyborczy do Parlamentu Europejskiego, wciąż podzielony według kryterium narodowego, uniemożliwia partiom politycznym i elektoratowi oderwanie się od spraw krajowych. I to nierozwiązane problemy lokalne dały polityczne paliwo partiom skrajnym. Głównie we Francji i w Wielkiej Brytanii, ale nie tylko. Antyeuropejska prawica i radykalna lewica wygrały albo zdobyły wysokie poparcie wszędzie tam, gdzie frustracje społeczne połączyły się z przejmującym poczuciem braku realnej, sensownej politycznej alternatywy. I chociaż mainstreamowe partie wciąż będą dominować na politycznej arenie Europy (chadecy najprawdopodobniej zawiążą koalicję z socjalistami), to jednak utrzymanie tego znacznie osłabionego status quo stanie się coraz bardziej wymagające. Zwłaszcza jeśli europejskie elity popadną w samozadowolenie i nad powszechnym niezadowoleniem przejdą do porządku dziennego. W dłuższej perspektywie takie

zachowanie może być groźne. Społeczne rozczarowanie, którego wyrazem są rosnący w siłę antyeuropejscy populiści, nie zniknie.

RED NECKI EUROPY

Unia Europejska ma realny problem z legitymizacją. I nigdy tak naprawdę się z nim nie skonfrontowała. Eurowybory 2014 przejdą do historii jako ponadnarodowy bunt przeciwko rządowi krajowym i głos sprzeciwu wobec głównych priorytetów europejskiego projektu. Proeuropejskie partie głównego nurtu choć – co wyraźnie należy podkreślić – zwycięskie, utraciły pewny, społeczny mandat. Eurosceptycy, mimo że nie wygrali, to jednak zmienili polityczne realia i uzyskali tzw. polityczne momentum. Przekonanie europejskich elit, że na kryzys integracji najlepszą odpowiedzią jest „jeszcze większa integracja”, zostało wyraźnie zakwestionowane. Dziś dalsze ignorowanie wątpliwości i zastrzeżeń coraz większej liczby niezadowolonych Europejczyków byłoby samobójstwem. Tak jak i stosowana wcześniej taktyka ośmieszania populistycznych oponentów. Prostackie dyskredytowanie eurosceptyków jest już bowiem po prostu nieskuteczne. Najlepszym przykładem jest sukces Nigela Farage’a, z którego w tegorocznej kampanii kpiono na potęgę. Tymczasem bezpardonowy atak z pozycji establishmentowych tylko go wzmocnił. Wyraźnie przeżywamy powtórkę z historii. Podobnie jak w USA W latach 1980., tak teraz w Europie elity skupiły się na wolnościach obywatelskich i problemach wielkomiejskich mniejszości, a zapomniały o problemach prostych ludzi z prowincji, którzy zostali dotknięci skutkami globalizacji. W Stanach Zjednoczonych w to puste miejsce wszedł Bush, oferując program i język moralnej większości. Nie zwrócił im miejsc pracy ani stylu życia amerykańskiej klasy robotniczej, ale nadał im nową tożsamość i poczucie godności. Udział w konserwatywnej rewolucji moralnej przywrócił im sens istnienia i jednocześnie zepchnął na populistyczne oraz ksenofobiczne pozycje. Jednak krzyk elit, że szerzy się rasizm, ksenofobia i ciemnogród, zepchnął tych

ludzi jeszcze bardziej na prawo. Tak samo dzieje się dziś w Wielkiej Brytanii oraz w całej Europie. Jeśli elity Unii nie chcą zwycięstwa europejskiej wersji Busha, muszą zaproponować tym, którzy czują się coraz bardziej zepchnięci na margines, coś więcej niż symboliczne i rzeczywiste wykluczenie.

DOBRE PYTANIA, BŁĘDNE ODPOWIEDZI

Populizm, którego źródłosłowem jest łacińska nazwa ludu (populus), zapisany w słownikach jest wolny od emocji. Od dłuższego czasu jednak wyraz „populizm” jest nacechowany różnymi emocjami negatywnymi, wśród których nietrudno dosłyszeć ton salonowej pogardy dla ludu. Lud odwzajemnia tę pogardę uczuciem wrogości wobec elit. Jednak mimo wszystko, jak twierdzi argentyński postmarskistowski filozof Ernesto Lacau, „logika populizmu jest logiką polityki jako takiej, wpisaną w realne funkcjonowanie każdej przestrzeni wspólnotowej”. A jeśli przez istotę polityki i demokracji rozumiemy tworzenie wspólnoty, formowanie przestrzeni równości tych, którzy nie są równi, upodmiotowienie tych, którzy są tylko przedmiotami władzy, to musimy zgodzić się z faktem, że populizm jako proces wyłaniania się ludu nie jest ekscesem, ale sednem polityki demokratycznej.

„Bez populizmu nie ma demokracji” – przekonuje argentyński myśliciel. I nawet jeśli by uznać poglądy Lacau za zbyt radykalne, to faktem jest, że populiści artykułują realne obawy i lęki społeczne. Mają złe i nielogiczne recepty, ale pytania zadają zasadne. UKIP w Wielkiej Brytanii, Front Narodowy we Francji, Partia Wolności w Holandii, Partia Ludowa w Danii – wszystkie nieco się różnią i mają inne recepty, ale łączy je jedno: odpowiadają na demokratyczne żądania w fałszywym i groźnym języku wrogości czy też nienawiści. W każdym kraju ta narracja jest trochę inna. Raz winni są imigranci, czasami Bruksela, innym razem jakaś mniejszość, zewnątrzni wrogowie albo światowy spisek. Ale zawsze jest jakiś jeden winny i jakaś jedna odpowiedź na najważniejsze bolączki zwykłych ludzi. Te proste hasła trafiają na podatny

grunt. Zwłaszcza teraz, kiedy realny polityczny wybór jest ułudą, gdyż establishmentowe partie nie bardzo się od siebie różnią.

ZATŁOCZONE CENTRUM

Postpolityczność i głęboka wiara w siłę liberalnych instytucji i procedur oraz mechanizmów i reguł doprowadziły do tego, że codzienna polityka głównego nurtu została umiejscowiona w sztywnym gorsecie technokratycznego zarządzania. Realne konflikty społeczne zostały zamiecione pod dywan powszechnego konsensusu i triumfu polityki centrum. Jednak zakwestionowanie istoty różnic politycznych zachwiało równowagą liberalno-demokratycznych wartości. Stąd kryzys demokracji, reprezentacji, wyborcza apatia charakteryzująca się zatrważająco niską frekwencją i powszechne poczucie nieistotności politycznego wyboru między lewicą i prawicą. A jak przekonuje Chantal Mouffe w swojej książce „Polityczność”: „(...) kiedy w establishmentie panuje jednomyślność, niezadowoleni muszą się zwrócić ku partiom antyestablishmentowym. Innego wyboru nie mają. A każda polityka nieuchronnie produkuje niezadowolonych”.

Tłok w centrum kreuje przestrzeń dla partii skrajnych. Dogmat racjonalności skutkuje wzrostem zbiorowych emocji, a zagłuszanie czy też wykpiwanie społecznych namiętności i irracjonalnych często niepokojów – agresją i radykalizacją. W efekcie łagodny pragmatyzm i racjonalna polityka niezbędne do przetrwania ładu, spokoju i względnego dobrobytu w Europie już nie wystarczają. Europejskiemu establishmentowi potrzebna jest dziś wielka idea, która porwie masy i zaoferuje taką grupową identyfikację i taką polityczną tożsamość, która będzie mogła skutecznie konkurować z agresywnymi ideami oferowanymi przez partie populistyczne. Na kontynencie tragicznie doświadczonym przez szaleństwa faszyzmu i komizmu to zadanie trudne i ryzykowne. Ale jeśli chcemy postawić tamę przed nabierającą falą zdziczałego, prawicowego populizmu, nie mamy chyba innego wyjścia.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)